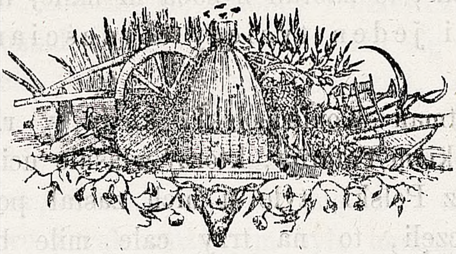
Tom X. Nr. 16.

1. czerwca 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niewola pogańska.

II.

O Rusince, co została sułtanką turecką.

Już w historyi pana starosty Wilczka opowiedziałem wam, kochani bracia, ile to ludzi nieszczęśliwych pędzili z sobą w niewolę poganie. Teraz wam jeszcze dopowiem o tem słów kilka.

Skoro kiedy Tatarzy wpadli na naszą ziemię polską, to już o nic tak się bardzo nie udzierali, jak o to, aby co największą liczbę ludu pognać za sobą. A choć nasze wojsko nieraz rozbiło na wszystkie boki pogaństwo, to mimo to nie można było zaradzić złemu, bo przebrzydłe Tatarzyska, uciekając co tchu przed szablą polską lub spisą kozacką, wlekli za sobą i pochwytanych chrześcian.

A cóż dopiero wtenczas, kiedy się nasi wojacy trochę opóźnili z ratunkiem! Toć nieraz bywało, że Tatarzy po kilkadziesiąt tysięcy polskiego ludu jak bydło gnali do Krymu!

Stoi to wyraźnie i dokumentnie zapisane w starych xięgach, że kiedy bardzo dawnego czasu, bo kilkaset lat temu wpadli Tatarzy do Polski, to zabrali z sobą ni mniej ni więcej tylko dwadzieścia i jeden tysięcy chrześcian do niewoli, w jassyr.

A sam hetman Koniecpolski, kiedy w r. 1624 dopadł z polskiem wojskiem Tatarów, którzy właśnie uciekali z łupami i niewolnikami z Polski, tyle u nich zastał polskich jeńców, że jak iść poczęli, to na trzy całe mile była długa ich procesya.

Zaś najbardziej to już biedny ludek wiejski utrapiony był przez pogan. Bo to nim nadbiegło wojsko na obronę, Tatarzy już tysiącami nałapali chłopków i pędzili do Krymu! Mocny mój Boże! co to za płacz, co za narzekanie rozlegało się aż pod niebiosa, kiedy tatarskie rozbójniki wpadli do wsi, chaty popalili, starców pomordowali, a wszystko co młodsze ze sobą porwali!... Już co tego, to ani wam opisać nie potrafię.

A Tatarzy niewiary tak się już byli rozłakomili na lud polski, że ani rusz było się ochronić od niewoli. Wpadali ogromnemi zgrajami na wsie, rozsypywali się jak liście w jesieni i nuż wszędzie łapać ludzi, ile było można!

Aby zaś najlepiej udało im się polowanie, to wybierali się najczęściej na rabunek w jesieni. Bo to nie potrzeba wam o tem mówić, że jak poczciwy kmieć pozbiera sobie plonek boży z pola, jak gorzką swą pracę zwiezie pod strzechę, to radby odpocząć i pobawić się trochę.

Jaki taki chudzina ma córkę na wydaniu, to jej na jesień wesele wyprawia. A że to Tatarom najbardziej podobali się młodzi chłopcy i hoże dziewuchy, więc czychali jak wilki, aby wpaść wtedy do kraju, kiedy się najwięcej wesel odbywać miało.

Wtedy to chwytali całe wesela od razu — pędzili za sobą państwo młodych, drużki, swachy i wszystko, co tylko szło za weselem. Nieraz to wpadłszy niespodzianie, 70 wesel, jak jedno zabierali w niewolę! Co to więc było ogromnego płaczu i lamentu, to już wam i opowiadać nie potrzebuję.

To też i ludek wiejski poszedł po rozum do głowy, ta i ratowali się biedacy jak mogli. Skoro tylko słuch nadbiegł o napadzie pogan, zbierali się chłopcy i dziewczęta razem w jedną wielką gromadę i już nie rozchodzili się do swych chat, jeno w otwartem polu całą noc przepędzali, aby zaraz, jak się tylko Tatar jaki pokaże, uciekać w góry i lasy.

Ale i to nie zawsze pomagało, bo Tatarów ćma zawsze była niesłychana, a takie to były mądre i chytre okrutniki, że nie tak łatwo z rąk można im było umknąć.

A już to najbardziej dziewcząt gorzka była dola! Która tylko była młoda i hoża, i piękne miała lica, to każdy Tatar gonił za nią jak wściekły i brał z sobą w niewolę. Potem zaś rachowali nachwytane dziewki, rozdzielali na części i posełali w podarunku albo starszym tatarskim albo nawet samemu cesarzowi tureckiemu, co go zwą sułtanem.

Wtedy to już takie dziewczę niebożątko nie ujrzało nigdy w życiu ani ziemi swej polskiej, ani rodziców kochanych, ani strzechy rodzinnej!... Marniała biedaczka między poganami, ta i zatęskniła się na śmierć w końcu!...

Ale zdarzało się nieraz, że taka w niewolę wzięta dziewka, co ją nazywano branką, dziwne przebywała przytrafunki a nieraz to i wielką panią między Turkami została. No już to mówiąc Bogiem a prawdą nikt tam jej takiego szczęścia nie pozazdrościł — bo bez ojczyzny i wiary świętej człowiekowi żadne szczęście i bogactwo niemiłe.

Jednakże dla ciekawości opowiem wam, kochani ludkowie, przytrafunki jednej Rusinki, co ją za młodu wzięli Tatarzy w niewolę.

Niedaleko Stryja mieszkał sobie pewien xiądz ruski. Chudo tam było koło niego, ale już co jak co, to córkę miał nielada. Bo to dziewucha była szwytka jak łania, smukła jak kalina, rumiana jak jagoda! Ale za nic cała uroda przed tym rozumem, co go dziewczyna proboszczowa miała w głowie. To też później pokazała, że nie brakło jej na sprycie i przebiegłości.

Ale taki to na świecie już obyczaj, że jak co sądzi wola Boża, to ani rozum ani uroda nie pomogą, jak umarłemu ka-

dzidło. Tak się też stało i z córką xiędza ruskiego z pod Stryja.

Było to w r. 1520. Jak zwykle tak i tym razem wpadli Tatarzy hurmą nieprzeliczoną niespodziewanie do Polski i swoim zwyczajem najbardziej zaczęli się upędzać za niewolnikami.

Trafiło pogaństwo i na biednego xiędza ruskiego. Nie było tam co zabierać z majątku — ale piękna córka xiędzowa lepiej się podobała bisurmańcom niż złoto i klejnoty. Porwali tedy nieszczęśliwą dziewczynę od ojca i matki i powlekli ze sobą. Lament rodziców był okropny, dziewczę też odchodziło ze strachu i żalu od rozumu — ale cóż robić, głową muru nie przebije.

Nabrawszy moc ludu w niewolę uciekli Tatarzy z Polski, i dopiero za granicą poczęli się cieszyć i odpoczywać po wyprawie. Rozłożyli się na dolinie jak mrówie i poczęli obozować, jak to w spiewance stoi:

Dnia trzeciego z ranną rosą
W step Tatarzy się poniosą
Pasą konie, klacze doją...

A radując się z bogatych zdobyczy poczęli Tatarzy dzielić pomiędzy siebie pojmanych chrześcian. Osobliwie zaś darli się za dziewczętami. Gdy przyszło na ową porwaną córkę xiędza ruskiego, swarzyć się poczęli okrutnie, komu ją przeznaczyć.

— To dla mnie! — wołał jeden starszy tatarski.

— Nie! na brodę proroka! — wołał drugi — ona musi do mnie należeć!

W tem zbliżył się najstarszy ze wszystkich i rzekł:

— Zasie jednemu i drugiemu, ta dziewczyna dla samego padyszacha, dla sułtana!

I zaraz kazał ją wieźć osobno, a gdy przyszli do Krymu, odesłał najstarszy z Tatarów, co się zwał chan, jak np. król u nas, córkę ruskiego xiędza wraz z innemi nachwytanemi polskiemi dziewuchami do samego sułtana czyli cesarza tureckiego.

W Turcyi był wtenczas sułtanem Soliman, pan okrutny i chciwy krwi chrześciańskiej. Ale Rusinka miała już snać takie szczęście, że nawet z takim okrutnikiem dała sobie radę.

Jak się poczęła wdzięczyć i przymilać piękna dziewucha, tak sułtan turecki zakochał się w niej aż po uszy i koniec końców obrał ją sobie za żonę.

I tak biedna dziewczyna, córka xiędza ruskiego została cesarzową turecką! A że baba była sprytna i obrotna, to tak umiała zawsze wodzić za nos sułtana, że nie on, ale ona rządziła całem państwem.

Zabiegła o tym dziwnym przytrafunku wieść i do Polski, ale nikt nie chciał temu wierzyć, aż dopiero później przekonano się dokumentnie, że to wszystko prawda rzeczywista.

Zdarzyło się bowiem, że król polski Zygmunt Stary musiał posłać do Turcyi jednego pana polskiego, Opalińskiego, aby się z sułtanem rozmówił w rozmaitych interesach. Jak tedy przyjechał Opaliński do Turcyi i do samego głównego miasta, Stambułu, tak zaraz rozpytuje się, jakby tu najlepiej pogadać z cesarzem. Powiadają mu, że jeźli chce akuratnie wypełnić wszystko dobrze, to nie tylko do cesarza ale i do jego żony trzeba się udać z proźbami.

I dopiero z wielkiem swojem zdziwieniem dowiedział się poseł polski, że żoną cesarza tureckiego jest Polka rodem z pod Stryja. Potem dopiero uwierzyli wszyscy, co opowiadano o tej córce ruskiego xiędza z pod Stryja.

Zaś żona tureckiego cesarza, którą zwano Roxolana, żyła jeszcze długo na tronie tureckim, a gdy umarła, wystawił jej cesarz turecki Soliman przepyszny grobowiec, jako najukochańszej z swych małżonek.

NIEPISMIENNY.

(Gawęda ludowa.)

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na Bożym świecie;
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy panowie pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnem niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie
Wszystko bym wiernie kładł na papierze,
Dumka po dumce, słowo po słowie.
Spisałbym widok Bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;
A teraz wszystko marnie ulata:
Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym naprzód wszystkie sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy:
Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo aniołów o jasnej twarzy.
Spisałbym potem ptasząt słóweczka,
Ranne skowronka *Zdrowaś Marya;*
Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija?
Co mówi z wiatrem kłosista niwa?
Co ryczą woły, jak beczą stada?
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potem mrucząc sam z sobą gada?
Jak kowal młotem bije w kowadło?
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
Wszystkoby wiernie spisać wypadło.
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze! jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę!
Karta zrozumie, piórko wypowie.
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią;
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym po prostu jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie:

Pukanie serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy jakby mur ścienny...
Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie chwycę — jam niepiśmienny!

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:
On swoje dumki na papier złowi,
A potem z ludźmi co chce dokaże.
Ja — daj mi piórko, naucz niem władać, —
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moją nędzę pocznę powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może.
Spisałbym z tego bez żadnej zmiany,
Xiążkę modlitew, taką jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany,
Możeby łezkę wyronił za mną.
Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
Ja ciebie karmię w porze jesiennej!
Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze! —
Tożto polecę, człek niepiśmienny!

Wł. Syrokomla.

Poniedziałek.

Opowiadanie Jana z nad Sanu.

(Dokończnnie.)

Wypadek, który Sobka spotkał, nie był zresztą tak nadzwyczajnym. Przytrafia on się każdemu człowiekowi raz w życiu a wtedy krewni kładą go do trumny, zabijają wieko i chowają do ziemi.

Otóż taki wypadek spotkał i Sobka. Wracając bowiem razu jednego z Widacza, (a było to jak zazwyczaj w poniedziałek) szedł wązką ścieżką po nad brzegiem rzeki, zataczając się to w lewo to w prawo. Zdawało mu się przy tem, że bije się z sąsiadem swoim Maciejem Starką. Wymachiwał więc rękami

na wszystkie strony, jakoby bił swego przeciwnika. A kiedy właśnie pod trzecie żebro chciał mu kułaka wsadzić i mocno w tym celu na lewo się przechylił, poczuł nagle, że lewa noga straciła grunt, a za lewą nogą poszła i prawa, a wnet za nogami podążył i cały Sobek i zaczął lecieć w jakąś okropną, bezdenną przepaść.

Leciał i leciał i końca temu nie było, i westchnął wreszcie do św. Sebastyana patrona swego i do Maryi, opiekunki utrapionych. Musiało to jednak już być za późno, bo Sobek uczuł jak najwyraźniej, że czubkiem głowy dotknął się jakiegoś zimnego kamienia, poczem trzasło mu coś w karku i na tem koniec.

Tutaj w życiu Sokka nastąpiła mała przerwa. Nic nie wiedział co się z nim stało. Dopiero za dobrą chwilę poczuł znowu, że mógł myśleć i nad sobą się zastanawiać. Ale nie był to już Sobek mielnik w długiej, siwej kapocie. Gdy spojrzał po sobie był tak biały jak wór mąki a tak na wskróś, przezroczysty jak mgła na wiosnę. Duszno mu tylko było, jakby był gdzieś zamknięty. Szamotał się więc jak mógł w ciasnym jakimś kadłubie, a obaczywszy jasny otwór nad sobą, zaczął się przez niego na wolne powietrze przeciskać. A gdy jedną nogą na miękkiej trawie stanął, spostrzegł, że wylazł gardłem zabitego człowieka, który z rozstrzaskaną głową leżał na dnie rzeki. W tej chwili wychylił się xiężyc zpoza chmury a Sobek poznał w zabitym człowieku siebie samego, mielnika ze Skołoszowa, w długiej siwej kapocie. A on, biały jak wór mąki, był już tylko duszą!...

— Otóż masz babo diable reduty! pomyślał sobie Sobek, skręciłem kark i umarłem! Głupia rzecz tak umierać człowiekowi! A co to powiedzieć na sądzie Panu Bogu, jeżli powie: Precz pijaku, jeszcze pałka ci nie wyszumiała!

W wielkim tedy strachu był Sobek, jakto gadać przed Panem Bogiem, który wszystko ma zapisane w xiędze żywota. I żeby jakoś bez namyślenia się nie stawać przed tym strasznym sądem, usiadł na brzegu rzeki, czekając aż go sam Pan Bóg zawoła.

Tymczasem zawitała jutrzenka, skowronki zaczęły spiewać hymn do Pana Boga. W dali skrzypiały wozy i słychać było

ludzi odmawiających głośno pozdrowienie anielskie, bo właśnie z miasteczka dochodziły dzwięki dzwonu, głoszącego „Anioł Pański.“ W nowej białej kapocie siedział Sobek na brzegu i patrzał na dno rzeki, gdzie leżało jego ciało pokaleczone. A gdy pierwsze promienie słońca zabłysły i całe koryto rzeki oświeciły, Sobek przeraził się widokiem swego trupa! Miał on twarz obrzękłą i brzydką, jakto zazwyczaj u pijaków bywa. Wstrząsł się cały i odwrócił oczy mówiąc do siebie:

— Mój Boże, jakże obrzydliwym potworem jest każdy pijak, a jam za życia o tem nigdy nie wiedział! Co to na to wszystko Panu Bogu odpowiedzieć!....

I przyszli ludzie i obaczyli na dnie rzeki zabitego mielnika. A poznawszy, że pijany zeszedł z tego świata, zaczęli się urągać nad nim, potrącając go nogami. A nikt nie przyłożył ręki bratniej, aby go z wody na brzeg wyciągnąć! Leżał jak padlina, a stado psów zgłodniałych krążyło koło niego!

Widział to wszystko Sobek siedzący na brzegu, i rzewnie płakał. Obaczywszy sąsiada Macieja Starkę, rzekł do siebie:

— Maciej był moim kumem i dawniej wiele mu dobrego świadczyłem. Wczoraj wprawdzie biłem się z nim w karczmie, ale chrześcianin nie powinien guzów długo pamiętać. On zapewnie odda mi ostatnią przysługę i trupa mego wyjmie z wody.

Pan Maciej zbliżył się do mielnika, odgarnął nogą włosy a obaczywszy obrzękłą twarz trupa, splunął, przeżegnał się i odszedł. Sobek poskoczył ku niemu i ułapił go za połę, aby mu przypomnieć dawne dobrodziejstwa swoje, ale kum Maciej nie czuł tego, obalił Sobka na ziemię i przeszedł po nim jakby po cieniu.

— Tam do kata! pomyślał Sobek otrzepując z prochu białą koszulę, kum Maciej wcale mnie nie widział i przeszedł po mnie jak po ścierce! Tak to tak! Po śmierci nie widzą już ludzie człowieka, tylko kadłub jego, co leży bez duszy!

I zaczął Sobek rzewnie płakać i siadł na kamieniu tuż przy trupie.

Szli różni ludzie, a wszyscy uciekali od trupa natrząsając się z nieboszczyka, że był pijanicą, a zamiast w wódce znalazł śmierć w czystej wodzie. A Sobek płakał i zawodził, ale nikt go nie słyszał.

Po niejakiej chwili obaczył Sobek dziada z długą, siwą brodą. Sobek dawał zawsze jałmużnę i rzekł do siebie:

— Dziadek będzie miłosierny dla mnie. Nie raz mu dawałem chleba. Podniesie mnie i umyje, jak Bóg przykazał!

Dziad zbliżył się do trupa, przewrócił go kijem na drugi bok, plunął i rzekł:

— Hej pijaku, pijaku! Dawałeś mi chleb czarny a sam jadłeś biały jak słońce! Za to wezmę ci buty, na drugi świat możesz iść boso!

I zdjął mu dobre, nowe buty, trącił kijem i odszedł. Sobek chciał go zatrzymać jak kuma Macieja, ale dziad obalił go na ziemię i przeszedł po nim jak po płatku śniegu. Sobek płakał znowu i zawodził, ale nikt go nie słyszał.

Wreszcie powiedziano żonie o śmierci mielnika. Żona ubrała się w bekieszkę i wzięła korale na szyję. Sąsiadki przyszły z nią razem, aby ją pocieszać. Widząc ją pomyślał sobie Sobek:

— Otóż jedna istota, która przysięgła, że mnie nie opuści aż do śmierci!

Gdy młynarka męża obaczyła, przyłożyła fartuszek do oczu i zaczęła głośno zawodzić. Kumy i sąsiadki trzymały ją aby z żalu nie zemdlała. Ale Sobek, który już był duchem, widział na wskróś przez czerwony fartuszek jej piękne, czarne oczka, które były suche jak tareczki na Wszystkich Świętych. A gdy przez te tareczki do serca się spuścił, słyszał tam wyraźnie takie słowa:

— Dzięki Bogu, że ten pijanica już raz mi świat rozwiązał. Pójdę za czeladnika Grzegorza, który jest jako malowanie. Muszę dać na mszę świętą i każę dzwonić we wszystkie dzwony. Ludzie wezmą to za żal po nieboszczyku, bo tak być powinno — ale Pan Bóg przyjmie to za podziękowanie, bo on jeden wie, ile przez pijaka wycierpiałam na świecie!

W pierwszej pasyi swojej chciał Sobek wybić jej dwa przednie zęby. Machnął pięścią kilka razy w prawo i w lewo, ale żona nie czuła tego bynajmniej. Jakby na złość, wystawiła do niego prześliczne ząbki, które były białe jakoby kość słoniowa. Widząc Sobek niemoc swoją, zaczął sobie rwać włosy

i rzewnie płakać, że nikogo nie zostawił na świecie, któryby go kochał, a przynajmniej nad grobem jego zapłakał! Wszyscy cieszyli się, że pijanica już raz kark sobie złamał, i że więcej ludzi nie będzie napastywał.

A kiedy Sobek tak bolał i rozpaczał, zbliżył się do niego jakiś cień z papierami pod pachą, podobny do amtsdinera z becyrku. Rozłożywszy papiery zawołał:

— Sobek ze Skołoszowa!

— Jestem, odpowiedział Sobek, a skóra zadrżała na nim od pięty aż do głowy.

— Masz się natychmiast stawić przed sąd Boga, zawołał woźny z drugiego świata, i dał Sobkowi takiego szturkańca pod żebro, że jak piórko do góry podleciał, i co raz wyżej! wyżej się podnosił i wreszcie całą ziemię z oczu stracił.

A gdy Sobek po tak szalonej podróży do siebie przyszedł, stał już w ogromnej, złoconej sali, i widział przed sobą czerwone gradusy tronu, który był osłoniony obłokami. A z obłoków usłyszał głos jakoby głos gromu:

— Sobku ze Skołoszowa! Jesteś wielkim grzesznikiem, Oddałeś się pijaństwu! Na Widaczu u Szmula piłeś całę niedzielę i poniedziałek i kradłeś jeden dzień pracy! W poniedziałek młyn twój spoczywał i ty nic nie robiłeś! Przeto pada na ciebie wyrok, abyś do sądnego dnia w każdy poniedziałek sam młyn obracał przez cała dobę. Idź na ziemię i pokutuj!

Sobek poskrobał się w głowę i chciał na ten wyrok coś odpowiedzieć, jak to przed wójtem zwykł robić, ale ten sam woźny, którego widział nad rzeką, stanął przy nim, i znowu szturknął go pod żebro tak gwałtownie, że Sobek za drzwi wyleciał i spadł na ziemię, tuż koło swego młyna.

A był to właśnie poniedziałek. Mielnika już dawno pochowali, a żona jego była gdzieś w gościnie z czeladnikiem Grzegorzem. Młyn jak zazwyczaj stał w poniedziałek, bo już wszyscy przyzwyczaili się do tego, że w ten dzień młyn nic nie miele.

Sobek siadł na spuscie i zaczął dumać. Woda była zastawiona tak, że na koła nie leciała. Smutno, głucho było w ca-

łym młynie. Wtem usłyszał za sobą szept. Obejrzał się i obaczył anioła z ogromną dyscypliną.

— Masz spełnić wyrok i młyn całą dobę obracać, zawołał groźny Anioł, dziś poniedziałek!

Sobek pobiegł do zastawek, aby wodę na koła spuścić, ale żadnej zastawki nie mógł w górę podnieść, bo nie miał mocy!

— I jakże to uczynię, kiedy nie mam żadnej mocy, rzekł do anioła z dyscypliną, kłaniając mu się nisko.

Ale Anioł skrobnął go po plecach i rzekł:

— Dusza nie ma żadnej mocy do rzeczy, co są na ziemi, prócz tej, na którą skazał ją wyrok Boga. Masz własnemi rękami obracać koło młyńskie, a masz to czynić każdy poniedziałek przez całą dobę aż do sądnego dnia!

A gdy Anioł z dyscypliną znowu do Sobka się zbliżał, pobiegł tenże do koła młyńskiego i zaczął go ruszać całą siłą. Żyły trzeszczały mu w rękach, pot dużemi kroplami lał mu się z twarzy. Wreszcie ruszyło się koło, a we młynie zaczął się hałas i tartas na milę odległości.

Sąsiedzi zdziwili się, usłyszawszy hałas we młynie, wiedząc, że młynarka wraz z czeladnikiem w gościnę poszła. Zbiegli się więc wszyscy i zaczęli się żegnać. Woda bowiem była zastawiona, a koło obracało się samo! Przyszła wreszcie żona z czeladnikiem i oboje zbledli ze strachu i pobiegli do proboszcza, aby przyszedł z święconą wodą. Proboszcz przyszedł i pokropił młyn cały i wyklinał nieczystego ducha, ale wszystko to nic nie pomogło! Wprawdzie krople święconej wody piekły Sobka jak ołów roztopiony, bo był jeszcze nieczystym duchem, ale anioł trzymał go za kark i nie pozwolił mu ucieknąć z młyna.

Nigdy tak ciężko nie pracował Sobek jak w tej nieszczęśliwej dobie. Krwawy pot lał mu się po skroniach, na rękach ponabiegały mu pęcherze, a kilka razy chwyciło go koło i pogniotło mu palce u prawej ręki. Nigdy za życia nie miał wyobrażenia tak ciężkiej pracy! A kiedy jutrzenka już zaświtała i Wtorek się zaczynał, Sobek spadł pod młyńskie koło jak szmata zmięta i przez sześć dni wypoczywał tam i lizał

palce, aby w poniedziałek znowu robotę swoją rozpocząć! I to miało tak trwać aż do dnia sądnego!...

Tymczasem ludzie powiadali sobie, że we młynie na Skołoszowie diabeł miele. Sąsiedzi pozabijali okna, które do młyna wychodziły, a majętniejsi postawili sobie chałupę na innym gruncie. Żaden żyd nie przyjechał ze zbożem do młyna, a gdy młynarka chciała go sprzedać, nie było nawet nań kupca! Poszła więc w świat z Grzegorzem czeladnikiem, a dzieci rozlazły się po świecie, żebrząc pod figurą i po odpustach. We młynie zamieszkały sowy i puszczyki.

Sobek patrzał na to wszystko i płakał rzewnie. Widział że był powodem całego nieszczęścia! Przeklinał Szmula z Widacza i przeklinał tych wszystkich, którzy razem z nim w poniedziałek w karczmie siedzieli i pili!... Ale to wszystko nic nie pomogło! Co poniedziałek zjawił się anioł z dyscypliną i pędził go do roboty. Sobek musiał obracać ciężkie koło, aż mu kości w pacierzu trzeszczały. A często gęsto i dyscyplina owinęła mu się w koło piersi i piekła jeszcze gorzej jak święcona woda proboszcza z Radymna.

I tak mijały długie, długie lata. Sobek płakał rzewnie i modlił się gorąco do Boga, ale Anioł odpowiadał mu na to że to wszystko już za późno, bo pan Bóg jest Sędzią nieubłaganym! Było o tem pierwej myśleć, gdy się chodziło na Widacz. Pan Bóg długo, długo czekał poprawy grzesznika!

A młyn Sobka stał opuszczony i spustoszały. Woda nawet odeszła od niego i zrobiła sobie inne koryto. A pastuchy odpędzają w poniedziałek bydło swoje jak najdalej od młyna, aby nie słyszeć jak w nim djabeł miele!...

Wszystko to widział Sobek i gorzko płakał i wyrzekał na karczmę na Widaczu i na Szmula z rudą brodą, bo to byli jedyni jego dwaj nieprzyjaciele, którzy go w to nieszczęście popchnęli!

I w tej strasznej swojej pokucie, doznał Sobek razu jednego pewnej radości. Siedząc wraz z sową na kominie młyna, obaczył około północy, jak złodziej jakiś podpalał Widacz, aby karczmę i Szmula wraz z pierzyną spalić. I rozjaśniła się twarz Sobka i rzekł do siebie:

— Przecież raz to przeklęte karczmisko i ten żyd na węgiel się spalą! Oni mi nie mało sadła za skórę zalali! Dobrze im tak! Już płomień chwyta się słomy!

Ale wkrótce przyszła mu myśl lepsza do głowy. Pomyślał sobie:

— Chrześcianin nie powinien się cieszyć z nieszczęścia nieprzyjaciela swego. Przeciwnie zamiast zemsty, powinien go kochać, i miłością rozbroić złość jego.

Pomyślawszy tak, czepił się skrzydła sowy i wraz z nią do karczmy poleciał. I przyleciał właśnie w porę, aby podżogę zagasić. A Szmul spał sobie pod pierzyną i marzył o jakiejś spekulacyi.

A gdy się to stało, usłyszał Sobek nagle głos nad sobą.

— Ponieważ nieprzyjacielowi twemu dobrześ uczynił, więc darowaną ci kara twoja!

Sobek aż się spocił z radości usłyszawszy te słowa, a gdy oczy do górę podniósł, aby obaczyć tego, który doń mówił, — zadziwił się strasznie.

Obaczył bowiem nad sobą xiędza proboszcza w czarnej sutannie. On zaś sam w siwej kapocie leżał na miękkiej murawie, a cyrulik Hybel z Radymna klęczał koło niego i krew mu z ręki puszczał. Żona trzymała go za głowę i szczere łzy miała w oczach, a kum Maciej nacierał mu skronie chustką zmaczaną w occie.

Sobek podniósł rękę i otarł pot z czoła.

— Wielki Boże, pomyślał sobie, to mi się tylko śniło.

I łzy puściły mu się z oczu i ucałował rękę proboszcza, prosząc go, aby jutro wysłuchał go spowiedzi i odebrał od niego przysięgę, że już więcej pić nie będzie.

I dowiedział się biedny Sobek, że w samej rzeczy spadł z brzegu i omal że się nie zabił, ale dzięki opiece dobrych ludzi przyszedł do siebie i ozdrowiał.

Nazajutrz zaraz, z pokaleczoną jeszcze twarzą poszedł do kościoła i przyjął sakrament święty. Długo klęczał w konfesyonale, ale co tam xiędzu opowiadał, o tem nikt nie wiedział.

Młyn od tego czasu już od świtu w poniedziałek był w ruchu, a żydzi z Radymna przywozili zboże pełnemi wo-

rami. Sobek doczekał się późnej starości i pociechy z dzieci, ale o śnie swoim strasznym nic nikomu nie powiedział. Dopiero przy końcu życia, gdym razu jednego przyszedł z wędką, aby pod młynem ryby łowić, siadł przy mnie staruszek i opowiedział mi to wszystko, co tu wam spisałem. Niech każdy z was w poniedziałek pamięta o strasznym śnie Sobka.

Rady gospodarcze.

Gadka o pokrzywie.

Przyszedł Wach z pobliskiej wsi do Wojtka i ujrzy koło domu pokrzyw wiele.

— A cóż to u was tego zielska, mówi, a jeszcze same pokrzywiska. Choć mi tam nic do tego, boć to przecie nie moje, ale okrótnie mi się nie podoba, że się to zielsko tak krzewi, a wy go nie tępicie, komoterku miły.

A Wojtek się uśmiechnie i gada:

— By jeno dobrze rosło, Wachu kochany, jak inne lata, tegobym sobie życzył. Pewnie wcale nie wiecie, ile ztąd mam zysku?

— Co, zysku, mówicie, z pokrzyw zysku? pyta Wach. Toć już gąsięta podrosły, jeść ich nie będą, jakiż wy też zysk macie z tych pokrzyw, komoterku drogi, bo to u mnieby się straszna moc tego zielska pokrzewiła, bym go nie wyniszczał.

A Wojtek gada:

— A wiecie wy, komoterku, że nie jeno gąsiątka lubią młode listeczki pokrzywy, ale my sami je zamiast jarmuszu smacznie zajadamy?

— Co, wy pokrzywy zajadacie? dziwi się Wach.

— Anoć zajadamy, rzecze Wojtek; a wyście jeszcze tego nie jedli?

— Gdzieby ja pokrzywy jadł, mówi Wach.

— Chcecie spróbować? pyta Wojtek, bo moja dziś ich nawarzyła.

— Co wy gadacie, gniewa się Wach, przecie ja stary człowiek, komoterku, na wasze żarty ja się nie zestarzał.

— Aleć przecie prawdę mówię, gada Wojtek, matka daj jeno komoterkowi tych pokrzyw.

Jeszcze tam Wach jakoś nie dowierza, myśli że to jarmuż, smakuje, jakoś dobre, ej, komoterku, toć to nie pokrzywy.

— A cóż wy myślicie! pyta Wojtek.

— Abo ja wiem, rzecze Wach.

— Toć wam się sumitować nie będę, mówi Wojtek, ale wierzcie, że to z pokrzyw potrawa.

Nie mógł się Wach dosyć nadziwić temu a Wojtek dalej prawi:

— To jeszcze najmniejszy z pokrzyw pożytek. A wiecie wy z czego ta koszula?

— A jużcić ze lnu, gada Wach.

— Gdzie tam ze lnu, prawi Wojtek, to z pokrzywy.

— Ej, co wy znowu gadacie, mówi Wach.

— Ano takci jest, komoterku, włókna z pokrzywy to jeszcze lepsze na przędzę od samego lnu, a jak przyjdzie ten czas, gdy będziem sprzątać pokrzywy na przędziwo i ziarno, to zobaczycie, że prawda.

— Co wy tam znowu o ziarnie gadacie, komoterku miły? pyta Wach.

— Ano widzicie, odpowie Wojtek, gdy się pokrzywy dostoją, to je młócę, bo to ziarno dla koni wyborne.

— Co, dla koni? pyta Wach.

— Prawda, komoterku, mówi Wojtek, ziarno pokrzywy konie smacznie zajadają i zdrowe od niego.

— Bodajście wy, gada Wach, czy to prawda?

— Ano chodźcież jeno do stajenki, rzecze Wojtek, mamci ja jeszcze ziarna tego trochę, to zobaczycie.

— Toć już wam wierzę, kiedy powiadacie, mówi Wach.

— A wiecie wy, czem te stołki żółte pofarbowane? pyta jeszcze Wojtek.

— Farbą tak stolarz pomalował, rzecze Wach.

— Ale gdzie tam, mówi Wojtek, ot, widzicie, korzenie z pokrzywy dobrze wygotowałem, z ałunem i solą zmięszałem i sam tak pofarbowałem, bo stolarz zaraz wiele grosza chce za farbę.

— Ho, ho, ho, co to za pożyteczne zielsko, te pokrzywy, gada Wach, zaraz i sam będę z niego pożytkował i moim sąsiadom też o tem powiem.

(*Sz. N.*)

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.